



MARIA SROKOWSKA-TOMKOWICZ

Warszawa, 21 listopada 1945 r. Sędzia śledczy Mikołaj Halfter przesłuchał niżej wymienioną w charakterze świadka. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań i obowiązku mówienia prawdy oraz o znaczeniu przysięgi, sędzia odebrał przysięgę, po czym świadek zeznała, co następuje:

Imię i nazwisko	Maria Srokowska-Tomkowicz
Wiek	46 lat
Imiona rodziców	Konstanty i Zofia
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Chełmska 20 m. 19
Zajęcie	doktor medycyny
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarana

Zostałam zaaresztowana 14 listopada 1944 roku we wsi Mała Wola, gm. Czerniewice pod Tomaszowem Mazowieckim, gdzie przebywałam chwilowo. Chodzi o to, że w przejeździe z Milanówka do Tomaszowa zatrzymałam się w Małej Woli, gdyż dowiedziałam się, że we wsi tej po potyczce z Niemcami znajdują się ranni partyzanci. Ponieważ lekarz tego oddziału został w potyczce zabity, zaczęłam udzielać pomocy lekarskiej rannym. W momencie, gdy kończyłam opatrunki, nadjechały dwa samochody gestapowców (byli oni w mundurach gestapo), kilku z nich weszło do domu, w którym leżał ranny i gdzie byłam ja.

W momencie, gdy weszli, kończyłam porządkować materiał opatrunkowy. Jeden z gestapowców zwrócił się do mnie po polsku: – Od bandytów wyszłaś, do bandytów przyszłaś! i dał mi w twarz. Od razu zabrano mnie do samochodu, zabierając także i moją torbę podręczną, w której były moje dokumenty. Zabrali wtedy także i rannego, który jak

przypominam sobie, nazywał się Lewandowski (imienia nie pamiętam). Tamże na miejscu zapytali mnie gestapowcy, czy oprócz tego opatrywałam innych bandytów. Oświadczyłam wówczas niezgodnie z prawdą, że tylko temu zrobiłam opatrunek (pozostali ranni byli w innej wsi – w Gaju). Ich zdaje się nie znaleźli, bo w samochodach, które przyjechały do Małej Woli, i którymi wieziono mnie i Lewandowskiego do Tomaszowa, nikogo oprócz nas z Polaków nie wieźli.

Po przywiezieniu do Tomaszowa umieścili mnie w gestapo przy ulicy Zapiecek. Po dwóch dniach wzięli mnie na badanie, które polegało na tym, że wypytywano, czy należę do organizacji podziemnej, czemu zaprzeczyłam. Zapytywano także o nazwiska dowódców tego oddziału partyzantów. Nazwisk faktycznie nie znałam. Ponieważ moje odpowiedzi były negatywne, bito mnie przy tym i następnych sześciu przesłuchaniach. Bito mnie przy każdym przesłuchaniu pałką gumową po udach, zamierzali się także w pewnym momencie pałką gumową w głowę, zasłoniłam twarz lewą ręką, skutkiem czego uderzenie trafiło w lewe przedramię od strony wewnętrznej co spowodowało pęknięcie skóry w tym miejscu i naderwanie mięśni. Ponieważ nie miałam możliwości zrobić opatrunku, wdało się zakażenie i rana ropiała aż do lutego 1945 roku.

(W tym miejscu świadek okazała sędziemu bliznę długości około 20 cm, przechodzącą od środka przedramienia w kierunku łokcia szerokości ca 5 cm).

W gestapo w Tomaszowie Mazowieckim przebywałam przez dwa tygodnie; po ostatnim badaniu dali mi do podpisania protokół w dwóch egzemplarzach lub dwa różne protokoły. Nie odczytywano mi ich i treści ich nie znam. Nie oponowałam, zgodziłam się podpisać te protokoły, pragnąc jak najszybciej opuścić pokój badań, aby uniknąć bicia. Bił mnie przy tych wszystkich badaniach gestapowiec – tłumacz mówiący dobrze po polsku – nazwiska jego nie znam. Badał mnie szef gestapo, którego nazwisko rzekomo brzmiało Kurt. Nazwisko jego podali mi inni więźniowie gestapo. Przez te dwa tygodnie siedziałam w zwyczajnej ciemnej piwnicy o chlebie i wodzie. Były w tym korytarzu w gestapo dwie piwnice dla aresztowanych (podobno oprócz tych piwnic w innych korytarzach były jeszcze inne piwnice dla aresztowanych). W tej, w której siedziałam ja, znajdowali się mężczyźni i kobiety razem. Było nas około dziesięciu osób. Aresztowani zmieniali się, przywozili bowiem ich i odwozili do więzienia.

Z gestapo po 14 dniach przewieziono mnie do więzienia w Tomaszowie. Siedziałam w celi nr 20, gdzie oprócz mnie były 22 kobiety. W więzieniu przebywałam przez dwa tygodnie. Stamtąd nie byłam już wzywana na przesłuchanie.

Nadmieniam, że w czasie pobytu w więzieniu poznałam m.in. siedzącą w tej samej celi co i ja Żydówkę, która prosiła mnie, abym w wypadku, gdy wyjdę na wolność, powiadomiła społeczeństwo o jej nazwisku i imieniu, które brzmiały Janina Rybicka z Koszykowej 19 w Warszawie. Miała ona około 30 lat, blondynka o lekko rudawym odcieniu włosów. Była to osoba bardzo inteligentna, do Żydówki mało podobna. Jak dowiedziałam się od innych współwięźniarek, Janinę Rybicką oraz trzy inne osoby... (dr. Zabłockiego z Warszawy, podprokuratora Manteuffla – lub może to nazwisko trochę inaczej brzmiało – z Łodzi oraz dziewczynkę 14-letnią – nie udało mi się dowiedzieć, jak brzmiało jej nazwisko; podawała ona podobno różne nazwiska i wskazywała coraz to inne miejsca pochodzenia) tę czwórkę powiesili Niemcy, jak słyszałam, w piwnicy więzienia, z tego rzekomo tytułu, że były to osoby pochodzenia żydowskiego.

Jak słyszałam wieszał ich strażnik więzienia Klein (imienia jego nie znam), znany w Tomaszowie.

Słyszałam też, że Klein powiesił również pewną więźniarkę, 82-letnią staruszkę (nazwisko jej będzie mogła podać dr Janina Sumara z Tomaszowa; ona i ta staruszka były współoskarżone w jednej sprawie), która przypadkowo weszła do piwnicy, gdzie Klein wieszał tamtych czworo.

Z więzienia przewieziono mnie razem z 200 innymi kobietami do obozu w Ravensbrück. Jednocześnie wywieziono także transport 500 mężczyzn. Nie wiem, dokąd go skierowano.

Do Ravensbrück przybyłam 18 grudnia 1944 roku. Od stacji Fürstenberg do obozu w Ravensbrück szliśmy pieszo. Spotkali nas na stacji i odprowadzili do obozu bez bicia, prowadził nas bowiem jakiś przyzwoity żandarm niemiecki. Na jego żądanie więźniarki przez całą drogę śpiewały różne partyzanckie piosenki.

W obozie od razu zabrali nas do kąpieliska, gdzie oddaliśmy całe swoje ubranie i w ogóle wszystkie rzeczy; po kąpeli przeszliśmy wszystkie przez badanie ginekologiczne – dokonywane w brutalnej formie – przez *Schwester* SS, która badanie przeprowadzała, nie myjąc rąk i w ten sposób, że niektóre z badanych więźniarek dziewic straciły w tym swoje dziewictwo. Wiem o tym stąd, że osobiście widziałam, że siostra ta miała zakrwawione ręce po

badaniach, słyszałam krzyki i prośby badanych, a nadto sama widziałam u dwóch więźniarek – Loni Waligórskiej (obecnie mieszka gdzieś na Pomorzu) oraz u Andzi (nazwiska nie pamiętam) – właśnie takie uszkodzenia błony dziewiczej. Słyszałam, że było takich wypadków więcej.

Po kąpeli otrzymałam podartą koszulę letnią, podartą sukienkę letnią i letni płócienny płaszcz oraz zwrócono mi moje pantofle. Poza tym nie otrzymałam nic z ubrania ani z bielizny. Mniej więcej tak samo wyekwipowano resztę. Było to 18 grudnia, po ciepłej kąpeli. Było wtedy około 15° mrozu. Po kąpeli wyprowadzono nasz transport do bloku nr 21. Po pięciu dniach otrzymałam nr 94 589.

Przed otrzymaniem numeru nie brano nas do pracy. W tym okresie inne więźniarki, pracujące w szwalni, przy sortowaniu rzeczy odebranych od więźniarek, przynosiły nam różne ubrania, które kradły dla nas w czasie pracy. Mnie ubrała w ten sposób Maria Bujalska, żona rozstrzelanego w Oświęcimiu naczelnego lekarza Szpitala Ubezpieczalni w Warszawie, obecnie pracująca jako profesor w gimnazjum imienia Słowackiego w Warszawie przy ul. Wawelskiej.

Ubrała w ten sposób wiele innych więźniarek z naszego transportu. Dzięki temu mogliśmy wyżyć na apelach, inaczej bowiem żadna z nas nie przetrwałaby. Stało się bowiem na apelach na mrozie od czwartej do ósmej rano.

Mnie Bujalska dostarczyła np. ciepłe palto z karakułowym kołnierzem, sweter, ciepłą sukienkę, pończochy itp.

Zaznaczam, że każda z nas oprócz numeru na sukienkach i na rękawach nosiła trójkąt kolorowy z literą określającą narodowość. Trójkąty były kolorów: czerwony dla politycznych, zielony dla kryminalistek, lila – aresztantki Niemki, czarny – aspołeczny, to znaczy wszystkie Cyganki i prostytutki oraz te Niemki, które przebywały w obozie za to, że miały przyjaciół Polaków, Żydów i innych narodowości.

W obozie przebywały przedstawicielki wszystkich narodowości, były reprezentowane nie tylko wszystkie narody Europy, lecz nawet były Turczynki i jedna Egipcjanka.

Najwięcej było Polek (około 30 proc.), Rosjanek (jeńców z Armii Czerwonej i in. Rosjanki) – także około 30 proc., Cyganek, Żydówek po 10 proc., Czeszek, Jugosłowianek, Słowaczek – po 5 proc., następnie kolejno według ilości szły Niemki (komunistki, [nieczytelne], mające przyjaciół nie-Niemców i kryminalistki), Belgijki, Holenderki, Szwedki, Norweżki, Dunki itd.

W obozie tym przebywałam do 15 marca 1945. Wówczas nowo przybywającym nadawano numery ponad 150 tys.

Będąc w obozie, pracowałam jako lekarz (z zawodu jestem internistką – ginekologiem) szpitala obozowego. Szpital składał się z budynku – rewiru – w którym mieściły się kancelaria, ambulatorium, sala operacyjna oraz bloki: 11 (dla chorych wewnętrznych), 10 (dla gruźlików i wariatów), 9 (chirurgiczny), 8 dla róży i biegunki głodowej (choleryczny), 7 dla wewnętrznych niepracujących na zewnątrz obozu i 6 – „blok śmierci”.

Na tym protokół przerwano, uwzględniając prośbę przesłuchiwanej.

Odczytano.

Warszawa, 27 listopada 1945 r. Sędzia śledczy Mikołaj Halfter przesłuchiwał niżej wymienioną w charakterze świadka. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań i obowiązku mówienia prawdy oraz o znaczeniu przysięgi, sędzia przypomniał złożoną przysięgę, po czym świadek zeznała, co następuje:

Imię i nazwisko: Maria Srokowska-Tomkiewicz, znana ze sprawy

Od Bożego Narodzenia 1944 do marca 1945 roku pracowałam w charakterze lekarza w bloku szpitalnym nr 6. Oprócz mnie w tym czasie pracowały w takim samym charakterze: dr Janina Węgierska (obecnie przebywa w Łodzi, zdaje się, że mieszka przy ulicy Zgierskiej 5; postaram się ustalić adres dokładny i zakomunikować), Rosjanka Antonina Nikiforowa (docent uniwersytetu w Leningradzie), Ludmiła Afanasjewa (Rosjanka) oraz przez krótki czas Żydówka węgierska Iza (nazwiska jej nie pamiętam; była ona zaledwie przez tydzień, bo dr Treite nie pozwolił, aby ona, Żydówka, przebywała w aryjskim środowisku i żeby leczyła aryjki; odesłano ją na blok zwykły).

Blok nasz nosił miano bloku śmierci, gdyż kierowano tu tylko chore na *durchfall*, które w bloku naszym przebywały w takich warunkach, że nie było szans na wyleczenie.

Pojemność tego bloku wynosiła 350 – 400 więźniarek. Z tego umierało dziennie około 50 osób. Leczenia nie było w naszym bloku żadnego. Ja np. na 150 – 180 podopiecznych chorych otrzymywałam na tydzień dwie ampułki kamfory do zastrzyków, 10 pastylek aspiryny i więcej nic. Nie otrzymywałam żadnych leków na *durchfall* (biegunka o typie etaleryny). Aby jakoś zaradzić, własnym przemysłem spalałyśmy drzewo na węgiel, tłukłyśmy go na proszek i ten proszek dawałyśmy chorym. Zdarzały się wypadki, że niektóre chore miały tak mocne organizmy (np. Wanda Pozner z Francji), że potrafiły zwalczyć chorobę. Takie przenosiłyśmy na blok 8 lub 7 jako rekonwalescentki (u nas nie było miejsca, zresztą i warunki tam były lepsze). Raz na tydzień musiałyśmy wypisywać z bloku 6 takie chore, które mogły utrzymać się na nogach (zwykle w tych wypadkach przenosiłyśmy je na inne bloki szpitalne). Poza tym raz na tydzień – z upoważnienia Treite'a – Schwester Ani (SS), kierowniczką apteki lub lekarka niemiecka, więźniarka Siens (tę przekupiłyśmy i ona szła nam na rękę), które robiły przegląd chorych, w czasie którego wszystkie trzymające się jako tako na nogach wypisywało się z 6 na bloki, z których przybyły, skąd do marca 1945 – bardzo często, od marca zaś – z reguły – zabierano je do komór gazowych.

W marcu 1945, ze względu na dezorganizację w obozie, udawało się stosunkowo często takim, które wypisywane były z powrotem na swoje bloki (o ile mogły jakoś się poruszać), ratować się w ten sposób, że zmieniały bloki i numery i ukrywały się na cudzych blokach.

Nadmieniam, że codziennie rano przynoszono lub przyprowadzano do naszego bloku chorych, umieszczając ich w przedsionku – tak zwanym *Tagesraum*, było to coś w rodzaju izby przyjęć. Tam rozbierano chorych do naga, zapisywano imię, nazwisko, numer i blok. Numer zapisywałyśmy ołówkiem kopiowym na rękę. W *Tagesraum* stał piecyk, szafki z ubraniami, i [nieczytelne] z jedzeniem dla całego bloku. Na porządku dziennym [było, że] wiele osób umierało już w *Tagesraum*. Trupy wynosiłyśmy do *Waschraum* przez dobę, dopóki nie zabrało je *Totenkolonie* (składała się ona z więźniarek Niemek z czarnymi łatami; widywałam, jak czasami one – bądź w *Waschraum*, bądź w *Toterkeller*, dokąd czasami musiałam chodzić – wyrzywały zmarłym złote zęby i bawiły się nimi).

Przybyłe do naszego bloku chore po rozebraniu strzygłyśmy i kierowałyśmy do sali, gdzie znajdowały się piętrowe prycze drewniane, na których były sienniki i koce. Bielizny od lutego 1945 – ani pościelowej, ani osobistej – chore nie otrzymywały i leżały nago. Nie wolno nam było chorym pozostawiać ubrania. Zdarzało się tylko czasami, że czyniłyśmy to po kryjomu. Ubranie przybywających chorych i bielizna były zresztą zawsze bardzo zauszone. Gdy wypisywałyśmy chore, otrzymywały one inne ubranie i bieliznę, zawsze w gorszym gatunku, niż miały poprzednio. Sala ta nie była wcale opalana. Chore leżały po pięć na dwóch sąsiednich pryczach. Zdarzało się, że brakowało nam miejsc nawet na takie ułożenie, toteż część układałyśmy na materacach na podłodze. Zwykle takie, które już znajdowały się w agonii, albo chore więźniarki Niemki.

Na jedną chorą (tak samo, jak i dla personelu) otrzymywałyśmy rano pół litra czarnej gorzkiej kawy, o godzinie dwunastej kleik z mąki lub kaszy w ilości pół litra, my i zdrowsze otrzymywałyśmy gotowaną kapustę lub brukiew; każda poza tym otrzymywała 0,25 kg chleba, wieczorem – znowu pół litra gorzkiej kawy.

Poza blokiem 10, gdzie znajdowały się gruźliczki (z otwartą gruźlicą, leżące) i wariatki (na tym bloku było około 200 gruźliczek i 200 wariatek). Zaznaczam, że nie podawałyśmy w swoich rozpoznaniach takich chorób jak gruźlica (dopóki mogła chora chodzić), osłabienie mięśnia sercowego i wady serca oraz choroby serca wszelkiego rodzaju, wskazanie bowiem

w rozpoznaniu lekarskim tych chorób pociągało za sobą skierowanie takich chorych do komór gazowych. Wariatki przybywające na blok 10 pozostawały zwykle przy życiu do chwili stwierdzenia choroby umysłowej przez Treite'a (wiem o tym od personelu lekarskiego tego bloku). Po stwierdzeniu choroby umysłowej do lutego 1945 robiono im zastrzyki (zastrzyki te robiły siostry SS) z fenolu dożylnie, które powodowały śmierć po upływie paru minut. To samo robili w stosunku do gruźliczek (na bloku 10a). W ten sposób chore przebywały na bloku 10a z reguły tylko parę dni.

Od lutego 1945 nie stosowano już dla uśmiercania chorych zastrzyków z fenolu, lecz zabierano raz na tydzień wozem ciężarowym do komory gazowej. Nie znam procedury tracenia w komorach gazowych. Znam jedną więźniarkę, która przeżyła *Jugendlager* – nazwisko jej Szabelak (pochodziła z Warszawy), ostatnio wróciła ze Szwecji (dowiem się, gdzie mieszka i zakomunikuję ob. Sędziemu). Znam także inną, która została przeznaczona w czasie selekcji „do gazu” i zdołała uciec. Ustalę i podam jej adres. Nazwisko jej: Józefa Chmielnicka.

W innych blokach szpitalnych (poza 10 i 6) warunki były lepsze: chore miały bieliznę oraz trochę lekarstw. Zabieranie „do gazu” było rzadszym zjawiskiem i czyniono to w sposób dyskretniejszy: zabierano do *Jugendlager*.

Był wypadek zresztą na początku marca 1945, że Treite kazał nam przenieść na 7 blok wszystkie chore, które nie mają już *durchfallu*, rzekomo po to, by zrobić miejsce dla licznych chorych na *durchfall*, przebywających na blokach mieszkalnych. Antonina Nikiforowa przeniosła (również jak i Janina Węgierska) swoje chore na 7, ja zaś – podejrzewając podstęp – przeniosłam tylko dwie. Nikiforowa i Węgierska uważały, że narażam na niebezpieczeństwo swoje chore. Okazało się jednak, że właśnie ja przypadkowo zgadłam dobrze, bo wszystkie chore z bloku 7 po dwóch dniach SS-mani zabrali do gazu.

W lutym 1945 roku Treite zaproponował więźniarkom Żydówkom i Cygankom, że o ile dobrowolnie zgłoszą się do rewiru celem naświetlań rentgenowskich, mogących powodować bezpłodność, to zostaną zwolnione z obozu. Zgłosiło się bardzo dużo kobiet i przez cały luty trwały te zabiegi. Od Czeszki Aniczki Kleistowej oraz Czeszki lekarki Majdy (nazwiska nie znam), zatrudnionych przy rentgenie wiem (one też były więźniarkami), że przyjechał profesor Widemann i właśnie on osobiście naświetlał przy pomocy sióstr SS te kobiety. Naświetlania odbywały się w ten sposób, że ustawiono w szereg dziesięć kobiet w wieku

od 14 do 40 lat, nago i poddawano działaniom promieni (wszystkie jednocześnie) przez pół godziny, w ciągu 7 dni. Nie zwolniono ich wbrew obietnicy. Wiem tylko, że na początku marca wywieziono z Ravensbrück duże transporty właśnie tych kobiet (Żydówek i Cyganiek) jadące na roboty. Dokąd je wywieziono, nie wiem.

W okresie mego pobytu w Ravensbrück żadnych operacji doświadczalnych nie robiono. Nikt z naszych lekarzy przy takich operacjach, o ile mi wiadomo, nie był. Może coś więcej o nich mogłaby powiedzieć dr Grabska z Poznania (zdaje się Zofia, adresu jej nie znam). Grabska – więźniarka Polka – pracowała w rewirze na oddziale chirurgicznym i ginekologicznym. Na czym właściwie polegały te operacje, nie stwierdziłam. Wiem o nich tylko to, co mi opowiadały kobiety poddawane operacjom. Z ich opowiadań wywnioskowałam, że były one zarażane jakimiś złośliwymi bakteriami. Słyszałam także, że wycinano niektórym więźniarkom części kości udowych i piszczelowych. O tym, co robiono i w jakim celu zabierano i wywożono gdzieś z Ravensbrück kończyny ludzkie, nic nie wiem, aczkolwiek słyszałam, że były takie wypadki.

Odczytano.